ŚWIATŁO

pismo powieściowe i popularno-naukowe

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia **1-go.**

Wydawca i redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Rocznik II. (Półrocze II.) — **Numer 3.**
(Za wrzesień 1910 r.).

**Adres: Redakcya „ŚWIATŁA“ w Krakowie
ulica Powiśle L. 12.**

KRAKÓW.
Nakładem Ks. M. Dziurzyńskiego.
Czcionkami Drukarni Związkowej pod zarządem A. Szyjewskiego.
1910.

Treść numeru 3-go.

Rozszerzajcie „Światło“

i jednajcie nam nowych prenumeratorów jak najwięcej, bo gdy się w tym roku zbierze większa liczba Czytelników, to w takim razie podawać będziemy w każdym numerze „ŚWIATŁA“ piękne ryciny (obrazki).

Zdania Papieży i Biskupów o popieraniu prasy!

Papież **Pius IX.** powiedział: „**Żądamy, aby katolicy życzliwie popierali tych, którzy wydają pisma przejęte duchem katolickim**“.

Pius X., który niegdyś jako Patryarcha Wenecyi gotów był zastawić swój pastorał biskupi, aby podtrzymać pewne pismo weneckie, wyraził się już nieraz jako Papież, że „**popieranie dobrej prasy katolickiej** (czyli pism) **jest o wiele lepszem dziełem, niż budowanie kościołów i klasztorów**“.

W podobny sposób mówił w roku 1908 o prasie na wiecu katolickim w Saragossie (w Hiszpanii) Arcybiskup Aguirre z Bourgos. Wyrzekł on te słowa: „**W dzisiejszych czasach jest rzeczą większej wagi dać światu jedno pismo prawdziwie katolickie, niż zbudować kościół**“.

Kardynał Parochi mawiał: W czasach, gdy Kościołem rządził Leon X., udzielano hojnie odpustów tym, którzy składali ofiarę na budowę kościoła świętego Piotra. Ja zaś na klęczkach prosiłbym Ojca świętego, aby udzielał odpustów wszystkim, którzy przez popieranie prasy katolickiej współuczestniczą w budowaniu żywego Kościoła Bożego“.

Rocznik II. Kraków 1-go września 1910. (Półrocze II-gie) Nr. 3.

ŚWIATŁO

pismo poświęcone nauce i rozrywce

wychodzi **raz** w miesiącu, dnia 1-go

Prenumerata „ŚWIATŁA“ wynosi w Austryi na **rok: 3** korony — na **pół roku: 1** koronę **50** hal. — Do Niemiec na rok: **4** korony — półrocznie **2** korony. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya **„ŚWIATŁA“** w Krakowie ul. Powiśle 12.

Tortury w wiekach średnich.

Ciężkim był dla Polski rok 1654. Karol Gustaw, król szwedzki, zerwawszy układy o wieczyste przymierze z królem polskim i pragnąc posiąść tron polski, przy pomocy dwóch zdrajców polskich: Hieronima Radziejowskiego i Janusza Radziwiłła, w ciągu trzech miesięcy zajął prawie cały kraj bez walki, a król Jan Kazimierz musiał szukać schronienia na Śląsku, w Głogowie.

Zdrajca Radziejowski szukał w Polsce pomocników dla swej niecnej roboty, i znalazł ich tak pośród szlachty jako i pośród mieszczan. Do nich należało także kilku mieszczan i rajców warszawskich. Radziejowski, chcąc się z nimi bliżej porozumieć, wysłał do Warszawy zaufanego sobie szlachcica, którego jednak pochwycili żołnierze królewscy i na rozkaz króla oddali do badania rajcom miejskim Balcerowi i Morze.

Ci, aby spełnić rozkaz królewski, wzięli go na tortury, ale dość lekkie, bojąc się, aby więzień nie wyśpiewał co wie o ich porozumieniu ze zdrajcą Radziejowskim. Po torturach zaś ułatwili więźniowi ucieczkę.

Przypatrzmy się teraz, jak wyglądały owe barbarzyńskie, a niby lekkie tortury. W powieści W. Przyborowskiego:

«Skarby pradziadowskie» taki znajdujemy opis tortur w Warszawie i wogóle w Polsce.

Kat, inaczej zwany mistrzem, w średniowiecznem życiu miejskiem ważną bardzo odgrywał rolę.

Katostwo od dawien dawna było w rodzie Dalekich, którzy zapewnie kiedyś tam przywędrowali z Niemiec. Jakób Daleki, był już trzecim z rzędu katem w rodzie Dalekich, był mężem olbrzymiego prawie wzrostu, olbrzymich bark i rąk.

Nosił się nieco garbato. Włosy miał białe, miękkie jak len, niedbale spadające mu na duże, szeroko rozwarte i jasno-błękitne oczy.

Przez dziwną sprzeczność z rzemiosłem, któremu się oddawał, oczy te miały wyraz nadzwyczaj łagodny — przez łzawą ich powłokę patrzała taka jakaś tkliwa, cicha, rzewna, prawie niewieścia dusza, taka jakaś miękkość, że każdy, kto nie znał Dalekiego, myślał, że to jakiś cichy mieszczuch, któryby i muchy nie zabił.

W oczach tych prócz tego przebijał się jakiś głęboki smutek, jakiś żal za czemś... W całej zresztą twarzy malowała się ta łagodność i ten smutek. Białe czoło zorane było zmarszczkami... usta ściśnięte gwałtownie, jakby wstrzymywały skargę, która z duszy wyrwać się chciała.

Był to człowiek młody, bo nie liczył więcej nad 30 lat, a przecież koło skroni włosy mu posiwiały, choć był blondyn, a włosy takie nie prędko siwieją. W ruchach jego i postaci znać było zniechęcenie, bezwładność — był to automat, nie człowiek. Gorączkowe wypieki na trupio-bladej twarzy mówiły o tajemnej trosce, toczącej tę duszę.

Ubrany był w obcisły czerwony kaftan i wielki skórzany fartuch. Wszedł, spojrzał smętnie na stojącego wciąż pod ścianą więźnia — i nie rzekłszy ani słowa, siadł na ławce i podparł głowę na ręce.

Dwaj jego pachołcy byli to łotry widocznie z pod szubienicy.

Jeden z nich kusy, o grubym karku, o łbie ryżym i zezowatych, krwawych jak u pantery ślepiach, okryty brudnemi łachmanami, trzymał w ręku mieszek skórzany. Sterczał w kącie, w cieniu, i widocznie jadł coś twardego, bo chrupanie było słychać.

Drugi — cienki, chudy, zawiędły, miał minę lisa. Wszedł, kłaniając się pokornie, i ręce o długich palcach, jak szpony, założył na piersiach jak mniszka — stanął tuż przy mistrzu, a oczy miał spuszczone, jak panienka, podnosząc je niekiedy ukradkiem, z wyrazem niesłychanej nienawiści, na milczącą ofiarę pod ścianą.

Takim był kat i jego pomocnicy. Więzień stał wciąż pod ścianą, nie zmieniając postawy i obrzucając wzrokiem wszystkich wokoło. Na jego męskiej, marsowatej twarzy nie można było poznać najmniejszego wzruszenia. Ze spokojem ruszył na rozkaz Balcera do lochu, w którym badanie miało się odbyć — a za nim wszyscy.

Na wychodnem Mora zawołał jednego z żołnierzy i rzekł mu:

— Ruszaj do imci pana Bartka Landikiera i powiedz mu, żeby stawił się na ratuszu, bo będzie dziś w nocy czuwał nad więźniami i nad bezpieczeństwem miasta... taka jest wola jegomości pana burmistrza.

Wydawszy ten rozkaz, Mora zatarł ręce, uśmiechnął się do siebie swym okrutnym śmiechem i poszedł do lochu za innymi.

Loch, straszne miejsce w średniowiecznych ratuszach, była to wielka piwnica sklepowa, mieszcząca się aż na drugiem piętrze, licząc w głąb. Ratusz bowiem warszawski miał dwa piętra piwnic.

Była to więc wielka piwnica, ze sklepieniem wspartem na jednym kamiennym słupie, w stylu gotyckim, od którego żebrowate łuki rozbiegały się wokoło. Na słupie tym zawieszone były cztery latarnie, z czterech stron, oświecające dość dobrze mroczne sienie tego ponurego miejsca. Wprost wązkich drzwi, któremi wchodziło się do lochu, na kamiennem wzniesieniu stał długi stół, pokryty czerwonym suknem, w wielu miejscach podartem i poplamionem. Około stołu rzędem umieszczono wysokie krzesła, także czerwoną pokryte materyą; dwie woskowe świece rzucały blask i na czerwone, krwawe sukno, i na czarny krucyfiks z rozpiętym Chrystusem, i na dużą księgę, w psią skórę oprawną, z ortylami magdeburskiemi. Przy jednej z bocznych ścian wznosił się nizki pękaty piec, na którym leżały narzucone w nieładzie żelazne szczypce do

szarpania ciała, potworne kleszcze, sztaby do przypiekania, nakoniec najszkaradniejsza z tortur, tak zwany trzewik hiszpański...

Było to narzędzie żelazne, mające w istocie kształt trzewika, którego dwie ściany umieszczone na zawiasach roztwierały się na oścież. Wnętrze tego trzewika zaopatrzone było w mnóstwo drobnych kolców, tak, że gdy włożono go na nogę i mocno śruby przykręcono, kolce te wbijały się w ciało, druzgotały stopę...

Oprócz tego na piecu leżały naczynia metalowe, z których lano wodę wrzącą lub zimną w usta ofiary, — a obok pieca wznosił się wielki miech, podobny do kowalskiego, dla rozżarzania węgli. Lecz nie na tem koniec: — od sklepienia szły rozliczne sznury, na których zawieszano delikwenta, dla wyłamywania mu stawów, — a nawprost pieca, przy przeciwnej ścianie, stało duże łoże, pokryte suknem, ze skórzanymi pasami, którymi ofiarę przymocowywano do owego łoża.

Takie były sprzęty tego strasznego lochu. W całości wyglądał on ponuro i ciasno. Ściany jego pokryte były wielkiemi plamami krwawej barwy i zielonawą pleśnią. Powietrze tu było wilgotne, zatęchłe... Ze ścian woda ściekała wielkiemi kroplami. Kamienna posadzka była ślizga od wilgoci, — a gdy Mora, Baryczka i inni weszli ze światłem, gromada szczurów z piskiem i łoskotem pokryła się w swe dziury. Czarne robactwo, pokrywające tłumnie wilgotne ściany, zmykało gwałtownie...

Balcer wszedł pierwszy, za nim schylony Baryczka, a potem Mora. Zapalono świece.

Żółte ich światło oblało ponure ściany piwnicy, tworząc dziwne refleksy, ale mogło przeniknąć do wszystkich jej kątów, gdzie włóczyły się wielkie, posępne cienie. Z cieni tych patrzało, jak otchłań czarne łoże, piec ze swymi przyrządami, duży miech, który przybierał w ciemnościach dziwne, potworne kształty. Sznury, zwieszające się z bloków u sufitu, trącone przez przechodzących, chwiały się, uderzając miarowo o siebie i słup. Zapalono cztery latarnie u słupa, przez brudne, zakopcone szkło których przebijało się krwawe, przytłumione światło kagańców. Od nich chwiał się czerwony blask na sklepieniu, drżały

żebra i wyszczerzały zęby cegły, z których tynk opadał. W ciurkiem cieknących kroplach wody na ścianie łamały się promienie świec kagańców w tęczowe barwy, a wstrętna pleśń stroiła się szmaragdem...

Więźnia, z którego zdjęto kajdany, postawiono pod słupem, wprost stołu, na którym zasiadł na środku Balcer, a po obu jego bokach Baryczka i Mora.

Czarny Chrystus, napół oświecony, napół cieniem pokryty, zda się wyciągał ze stołu ramiona, jakby chciał cały świat przytulić do wielkiego swego serca...

Kat usiadł na ławie obok pieca, i wsparł głowę na rękach, widocznie w głębokich pogrążony dumaniach. Pomocnicy jego rozdzielili się: chudy stanął obok więźnia i spuścił oczy wstydliwie, ryży zaś rozpalał ogień na kominie, dmuchając na węgle, a potężne piersi jego działały, jak miech.

Więzień, uwolniony z kajdan, wstrząsł rękami, wyprostował się, odetchnął całą piersią, i zrzucając kaptur z głowy, rzekł głosem śmiałym, donośnym, acz nieco suchym:

— Cóż to, mości panowie, chcecie mnie sądzić? Jakiemże to prawem? Jam jest szlachcic i nie jest rzeczą mieszczan sądzić szlachcica. Owo, protestuję przeciw temu uroczyście, jako gwałtowi...

Na to Balcer, patrząc na więźnia zpodełba ozwie się:

— Nikt tu nie chce waści sądzić... jeno z nakazu króla Jegomości badać cię będziemy, do których to mieszczan warszawskich masz polecenia od imci pana Radziejowskiego i co to są za polecenia?..

Na to pytanie Mora podniósł się nieco i rzuciwszy wzrokiem wokoło, zatrzymał go na więźniu i położył palec na ustach.

Więzień uśmiechnął się boleśnie i rzekł:

— A gdybym wcale nie odpowiedział na to pytanie?

— Mistrz cię zmusi do tego! — mruknął ponuro Balcer.

— Mój ro... robacz... ku! — jęknie płaczliwie Baryczka — zmi... zmiłuj się nad so... sobą — sa... samym... na... na co ci... ci... to?

Balcer przybrał poważną postawę i spytał gromkim głosem:

— Kasprze Jasiński, pytam się ciebie, jakie miałeś polecenia i do których mieszczan warszawskich od imci pana Radziejowskiego?

Więzień szarpnął się gwałtownie, odrzucił w tył opończę, postępując kilka kroków naprzód rzekł:

— I to ty, ty, Balcerze, pytasz o to? Ha! infamisie!..

Błyskawice mignęły w ponurych oczach Balcera — jednakże, nie zmieniając postawy, zwrócił się do kata i spytał:

— Jakóbie Daleki masz-li wszystko gotowe?

Kat podniósł się szybko, spojrzał błędnym wzrokiem dokoła, potem na czerwone ognisko w piecu i szepnął:

— Za pół pacierza!

— Pytam się jeszcze raz ciebie Kasprze Jasiński, do których mieszczan masz polecenie? — powtórzył Balcer.

— Ano... kiedy tak, to dobrze! — zawołał więzień — oto do ciebie Balcerze! do ciebie Baryczko! i do ciebie Moro! mam polecenia!

Na te słowa Baryczka skulił się i szepnął:

— Chry... Chryste Pa... pa... nie ra... ra... tuj nas!

Mora zwinął się jak żmija, a blada twarz jego stała się trupio-żółtą. Wielkie swe czarne oczy wlepił w więźnia i patrzał tak, jak gdyby chciał rzucić się na niego.

Usta mu drżały, jak w febrze, a zęby konwulsyjnie gryzły do krwi wargę. Balcer zaś porwał się na równe nogi, i uderzając pięścią w stół, krzyknął strasznym głosem:

— Owo łżesz, jak pies ostatni!

— Co ty, pogański synu! — huknie na to więzień — będziesz mi gadał, że ja łżę! Owo jak pragnę zbawienia mej duszy, tak prawdę mówię. Do was mam polecenia i do burmistrza także .. jaśnie wielmożny pan podkanclerzy Radziejowski nakazał mi, bym szedł do was i mówił, że gdy szwedkie wojska wejdą, byście Warszawy nie bronili... owo co jest...

Balcer wysłuchał tego, usiadł, chwilkę milczał, potem rzekł:

— Więc nie chcesz prawdy wyznać?

— Powiedziałem ją już... a i to mi dziwno, że nie widzę tu pisarza, coby spisał moje słowa. Cóż to za badanie na gęby jeno?

— Nie twoja to rzecz sądzić, co i jak robimy — mruknie na to Balcer, — i jeszcze raz pytam się ciebie Kasprze Jasiński, czy chcesz wyznać prawdę?

— Przecież ją wyznałem... czegóż wy chcecie więcej?

Teraz Balcer powstał, i wyciągając rękę ku katowi, który stał posępny i wpatrzony w więźnia, rzekł surowym głosem:

— Jakóbie Daleki, czyń twoją powinność!

Na ten rozkaz dwaj pomocnicy kata, jak hieny rzucili się na więźnia, zdarli zeń opończę, kubrak, obnażyli go zupełnie i powlekli do owego posępnego łoża, co stało wprost pieca. Biedak bronił się jak mógł, rzucał, szarpał, gryzł zębami — niestety, wszystko napróżno. W ćwierć pacierza leżał rozciągnięty na łożu, z rozkrzyżowanemi rękami, mocno przywiązany skórzanemi pasami.

— Niechże was Bóg ciężko skarze! — jęczał nieszczęśliwy, chwytając powietrze piersiami — jesteście podli zbrodniarze! Rozumiem ja was psie syny... chcecie mnie zamęczyć; bo o wasze szyje idzie... ale Pan Bóg jest w niebie. On mię pomści!

Balcer milczał, ale straszny jego wzrok, dziko wlepiony w ofiarę i sine wargi znamionowały wielki gniew, — to też gdy kat zbliżył się do niego i spytał, od czego ma zacząć, rzekł ponuro:

— Buty hiszpańskie!

Na to powstał Mora, pochylił do ucha Balcera i coś mu szeptać począł, — a gdy kat z automatycznym ruchem wziął owe okropne buty rzekł:

— Czekaj!

I znów szeptał do ucha Balcera. Ten zamyślił się i wskazał z razu ręką katowi na sznury, wiszące u sklepienia, co znaczyło: wyłam więźniowi stawy — ale teraz Mora widocznie sprzeciwił się temu, bo, po zamianie kilku słów, wzrokiem wskazał mistrzowi żelazną sztabę rozpaloną w ogniu. Więzień przez ten czas leżał nieruchomy i przymknął oczy. Twarz miał spokojną, acz groźną. Na wyły-

siałe jego czoło, opalone słońcem i wichrami, włożyć jeno hełm, a będzie rycerz. Leżał nieruchomy, jak posąg — lekkie tylko poruszenie wargami znamionowało, że się modli w głębi duszy przed chwilą strasznej próby.

Z ogniska, rozdmuchiwanego miechem, kat wyjął długą żelazną sztabę, rozpaloną do białości prawie. Podniósł ją w górę i miarowym krokiem zbliżył się do więźnia. Ten otworzył oczy, spojrzał na kata, westchnął ciężko, z głębi piersi, zacisnął usta i zamknął znów oczy.

W tej chwili ostatniej Balcer zapytał jeszcze raz grobowym głosem...

— Kasprze Jasiński, czy trwasz ciągle w swoim uporze? Zaklinam cię na rany Chrystusowe, wyznaj prawdę!

Więzień milczał jak grób. Wówczas Balcer podniósł się i rzekł:

— Bóg mi świadkiem, żem nie winien twej męki.

I wyciągnąwszy rękę ku stojącemu nad więźniem Dalekiemu zawołał:

— Pal go kacie!

Na rozkaz ten zerwał się Mora ze stołka i szybko a cicho jak kot przysunął się do więźnia. Na twarzy jego znać było okrutny wyraz zadowolenia — czarne oczy jego śmiały się — a ręce wciąż zacierał.

Kat westchnął, pochylił się nad więźniem i przytknął żelazo do jego prawego boku. Skóra gwałtownie przypieczona zasyczała, wzbił się dym, potem skwarzenie straszne rozległo się po lochu i smrodliwy odór rozszedł się wokoło. Kat powoli wlókł żelazo po ciele, zostawiając krwawy, okropny ślad...

Więzień z początku drgnął gwałtownie, ale milczał. Twarz jego pokryła się trupią bladością i wielkie krople potu ciekły mu po czole. Widocznie cierpiał niesłychanie, bo wszystkie żyły na rękach i czole nabrzękły mu, jak postronki, a usta drgały konwulsyjnie — jednakże nie jęknął, najmniejszego głosu nie wydał.

Żelazna dusza męża tego, tłumiła krzyk boleści.

W lochu zatem panowało głębokie milczenie — słychać tylko syk palącego się ciała. A krwawo oświecony Chrystus na stole wyciągał wciąż ku światu ramiona i zdawał się mówić:

«Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią».

Baryczka pochylił głowę i szeptał modlitwy — Balcer zaś nieruchomy wpatrywał się w straszne to widowisko. Jeden tylko Mora ze szczególnem zajęciem śledził przemykanie się żelaza po ciele — a na twarzy jego błąkał się śmiech nieomal radości. Co chwila zacierał ręce.

Kat w niemem milczeniu suwał wciąż żelazo — z boku przeszedł na piersi i wypalił na nich obrzydłą krwawą brózdę.

Teraz powstał Balcer i rzekł:

— Jakóbie Daleki, przestań!

Ten podniósł żelazo, w milczeniu zwrócił się i rzuciwszy je w ogień, siadł na ławie, obcierając rękawem pot z czoła. Blada jego twarz pokryta była krwawym rumieńcem. Oddychał ciężko, jakby się zmęczył, chwytając gwałtownie powietrze.

— Kasprze Jasiński — mówił dalej Balcer. — oto przez miłosierdzie nasze zwalniamy cię na dzisiaj. Namyśl się do jutra, byś zasie o tej samej godzinie wyznał prawdę... Niech cię Bóg ma w swej opiece!

Rzekłszy to, skinął na pachołków, by odwiązali więźnia, i poważnie wyszedł z lochu, a za nim modlący się wciąż Baryczko. Został się Mora, zacierający wciąż ręce i uśmiechający się do siebie.

Gdy pachołcy odwiązali więźnia, ten powstał o własnych siłach, ale chwiał się biedak na nogach. Mora zbliżył się do niego i szepnął:

— No, no, mój dobrodzieju... nic ci nie zrobili... krzynkę wina.

I podał mu flaszkę. Więzień chwycił i duszkiem wypił pół butelki, Mora znów wyjął jakąś blaszaną puszkę z kieszeni i podając mu ją szeptał:

— Naści tu waść... posmaruj sobie rany... zagoją się prędko... a jak północ wybije na półzegarzu, gotuj się... Mój dobrodzieju, nie sierdź się na nas... nie można było inaczej, jak mi Bóg miły...

A gdy pachołkowie kajdany chcieli włożyć na ręce i nogi więźnia — Mora rzekł:

— Nie trzeba... nie trzeba... a to na co? ledwie stoi... odprowadźcie go do lochu pod wieżą...

Potem obracając się do ryżego, huknął.

— Ruszaj mi psi synu i wezwij tu pana Bartka Lapdikiera!

Więzień ubrał się, przypadając co chwila, tak go męczarnia osłabiła. Mora pomagał mu, jak mógł.

Niedługo zjawił się Bartek.

— Mości panie — rzeknie Mora donośnym głosem — oto więzień, zalecony nam przez Króla Jegomości. Oddaję go na dziś pod waści opiekę. Pilnujże go jak oka w głowie, bo szyją odpowiesz.

Rzekłszy to, zabrał się i wyszedł z lochu. Dostawszy się na ulicę, chwilę myślał i ruszył do kamienicy imci pana Fukiera.

Dalsze okolice Jerozolimy.

(Dokończenie artykułu: Jerozolima i jej ,okolice).

I. BETLEJEM.

1. Miasteczko Betlejem, zwane także «miastem Dawidowem» leży półtorej mili (10 kilometrów) w południowym kierunku od Jerozolimy. Wybraliśmy się wczesnym porankiem powozami, jak na Wschód, wcale porządnymi, jechaliśmy po wygodnym gościńcu i to tą samą drogą, którą niegdyś przed XIX-ma wiekami, przebywali święci Trzej Królowie ze swą świtą, by odszukać nowonarodzonego króla żydowskiego i pokłonić się jemu. Po obydwóch stronach drogi znajduje się wiele pamiątek i historycznych wspomnień.

Przejeżdżamy przez dolinę Gehenny i obok góry Złej Rady, przybywamy na równinę R e f a i m, czyli na p o l e o l b r z y m ó w, gdzie król Dawid dwukrotnie pobił swych nieprzyjaciół, Filistynów. Wkrótce potem spostrzegamy po lewej stronie drogi, c y s t e r n ę ś w i ę t y c h T r z e c h K r ó l ó w.

Na tem miejscu zatrzymali się Mędrcy ze Wschodu, poili swe wielbłądy i tu ponownie ukazała im się cudowna gwiazda, która ich doprowadziła do boskiej Dzieciny. Zatrzymaliśmy się także przy tej studni, aby się jej dokładniej przypatrzeć, wody skosztować lub ręce w niej umyć. W połowie drogi, ze wzgórza widać Betlejem i Jerozolimę, miejsce urodzenia i śmierci Zbawiciela. Na owem wzgórzu wznosi się klasztor grecki i cerkiew św. Eliasza, jednego z biskupów greckich betleemskich, zmarłego 1345 roku; w cerkwi znajduje się jego grobowiec. Naprzeciw drogi, po drugiej stronie pokazują zagłębienie w skale, które zostało po proroku Eliaszu, gdyż tu miał spoczywać, gdy uciekał przed mściwą królową Jezabelą i tu go Anioł pokrzepił chlebem i wodą. W pobliżu pokazują pole Habakuka, skąd Anioł Pański porwał owego proroka i przeniósł do Babilonu, aby nakarmił Daniela, uwięzionego w lwiej jamie.

Po obydwóch stronach drogi napotykamy winnice, drzewa oliwne i wogóle więcej zieleni, niż koło Jerozolimy. Piękny widok roztacza się przed nami na okolice Betlejemu, od którego nas coraz mniejsza dzieli przestrzeń. W pobliżu miasteczka, po prawej stronie gościńca, pokazują grób Racheli, ukochanej żony Jakóba. Doznaje ona dotychczas wielkiej czci i szacunku nietylko od żydów i chrześcijan, lecz także od schizmatyckich Greków, Turków i Arabów. Tuż niemal przed miastem wśród ogrodów, znajduje się cysterna Dawida, z której on często gasił swe pragnienie, gdy ojcowskie pasał owce.

2. Wjeżdżamy w wąskie ulice miasta i udajemy się wprost do Groty Narodzenia, do stajenki betlejemskiej. Lecz nie należy sobie przedstawiać, jakoby owa «stajenka» była podobna do naszych stajen lub szopek; wcale nie. Jest to poprostu pieczara czyli grota, znajdująca się w skale; schodzimy do niej po schodach z uczuciem jakiejś dziwnej, błogiej radości.

Tuż przy wejściu we wschodniej stronie znajduje się półkolista framuga, nad którą wznosi się mensa ołtarza; pod framugą, na jaspisowej posadce umieszczono srebrną gwiazdę z łacińskim napisem: *Hic de Virgine Maria Jesus Christus natus est.* (Tu z Dziewicy Maryi Jezus Chrystus się narodził). Nad gwiazdą przy ścianach framugi,

a pod mensą ołtarza płonie dniem i nocą 15 lamp, z których 4 należą do OO. Franciszkanów. Ołtarz i wogóle to miejsce mają w posiadaniu schizmatyccy Grecy i Armeńczycy, którzy tu swe nabożeństwa odprawiają. Z niewypowiedzianem uczuciem radości całowaliśmy tę gwiazdę i modliliśmy się gorąco do Dzieciątka Jezus na miejscu Jego urodzenia.

Na kilka kroków ku południowi (na prawo) jest kapliczka żłóbka, na tem bowiem miejscu stać miał żłóbek, w którym Najświętsza Panna złożyła Boską Dziecinę. Kapliczka ta należy do katolików, jest wyłożona białym marmurem; pali się w niej nieustannie 5 lamp. Żłóbek ów drewniany znajduje się obecnie w Rzymie w bazylice Świętej Maryi Większej.

Naprzeciw kaplicy żłóbka jest mały ołtarz poświęcony świętym Trzem Królom, którzy — według podania — na tym miejscu oddali pokłon Panu Jezusowi i złożyli swe dary: złoto, kadzidło i mirę. Ołtarzyk należy do OO. Franciszkanów, którzy tu codziennie Mszę św. odprawiają. I ja miałem to szczęście przy tym ołtarzu Mszę św. odprawić i pomodlić się do Boskiej Dzieciny.

W zachodnim kącie groty pokazują miejsce, gdzie według legendy wytrysło źródło na usługi świętej Rodziny w czasie jej pobytu w stajence.

Grota narodzenia ma 12 metrów długości, 3, miejscami 4 metry szerokości a 3 wysokości. Jej ściany i sklepienia są wyłożone marmurem i ozdobione czerwonymi makatami. Ze sklepienia zwieszają się liczne, kosztowne lampy, dar wiernych dla Boskiego Dzieciątka. Posadzkę wyłożono również płytami marmurowymi.

W zachodniej ścianie groty są drzwi, które prowadzą przez dłuższy korytarz (20 metrów) podziemny do sąsiednich pieczar. Są w nich kapliczki i ołtarze poświęcone św. Józefowi, św. Niewiniątkom, św. Euzebiuszowi, św. Herominowi i t. d.

Nad grotą Narodzenia wznosi się wielka, lecz obecnie zaniedbana bazylika Narodzenia, zbudowana przez św. Helenę, cesarzową 326 roku. Jest to więc jeden z pierwszych i najstarszych kościołów katolickich, które przechowały się do naszych czasów; miałby niespełna 1600 lat! Od

1757 roku należy on do schizmatyckich Greków, którzy go wydarli OO. Franciszkanom. Pobożni zakonnicy nie opuścili przecież stajenki betlejemskiej, lecz zbudowali wzdłuż bazyliki Narodzenia, na miejscu dawnej kaplicy św. Mikołaja, kościół św. Katarzyny.

Swe wykończenie i fundacye zawdzięcza on hojnym ofiarom i darom naszego sędziwego monarchy Franciszka Józefa I. Przy tym kościele mają OO. Franciszkanie dom gościnny dla pielgrzymów, szkołę parafialną i nowicyat zakonny, w którym zastaliśmy dwóch kleryków, Polaków, pochodzących z Królestwa. Oni nas oprowadzali i objaśniali nam święte pamiątki.

3. Po zwiedzeniu grot i kościołów udaliśmy się z naszymi polskimi przewodnikami na terasę klasztoru, skąd piękny i rozległy widok roztaczał się przed nami na miasteczko i jego okolice. Zdala podziwialiśmy góry Moabickie, a tuż obok Betlejemu pola pasterzy, gdzie im się owej pamiętnej nocy objawił Anioł, oznajmując, że się narodził Zbawiciel w «mieście Dawidowem».

Zwiedziliśmy także grotę mleczną, która znajduje się w pobliżu, na kilka minut drogi, stajenki betlejemskiej. W niej miała się św. Rodzina schronić i jakiś czas mieszkać przed ucieczką do Egiptu. Najświętsza Panna karmiąc Boskie Dzieciątko upuściła kilka kropel dziewiczego mleka na ziemię i odtąd skała zbielała, jak kreda. Niewiasty cierpiące na brak pokarmu używają proszku tej skały w wodzie rozpuszczonego w nadziei, że za przyczyną Bogarodzicy uzyskają potrzebną ilość mleka dla swych niemowląt. Żydówki i turczynki szukają tu także pomocy i uzdrowienia w swych cierpieniach.

Na wschód od groty mlecznej miał się znajdować dom św. Józefa, Opiekuna Pana Jezusa. Miejsce to nabyli OO. Franciszkanie i zbudowali 1889 roku kapliczkę, którą otoczyli murem.

Koło Betlejem znajdują się Salomonowe «źródła zapieczętowane» i «ogród zamknięty» do których Kościół św. przyrównuje Najświętszą Pannę Maryę, niedostępną dla grzechu pierworodnego i uczynkowego, jak o tem w «Godzinkach» śpiewamy.

Po kilku kilometrach drogi w południowym kierunku przybywa się do najstarszego na świecie miasteczka Hebron, gdzie mieszkali patryarchowie Abraham, Izaak i Jakób; tu także zostali wraz z swemi żonami pogrzebani. Grobowce ich dotąd pokazują. Dla braku czasu nie mogliśmy się do Hebronu udać.

II. ŚW. JAN W GÓRACH.

W południowo-zachodniej stronie Jerozolimy w ślicznem, górskiem ustroniu, wśród krzewów, drzew, zieleni i licznych winnic leży miasteczko, zwane «św. Jan w górach» (*in montanis*). To miejsce urodzenia Poprzednika Chrystusowego, św. Jana Chrzciciela. Arabowie nazwali go źródłem winnic (Din Karin), bo jest ich tu bardzo wiele, a chrześcijanie nadali mu nazwę od syna Zacharyaszowego, św. Jana.

Na miejscu urodzenia Poprzednika Chrystusowego znajduje się obecnie wspaniały kościół OO. Franciszkanów wraz z zabudowaniem klasztornem. Kościół o trzech nawach z wspaniałą kopułą należy podobno do najpiękniejszych kościołów, jakie powstały w ostatnim wieku w Ziemi świętej. Wielki ołtarz jest poświęcony św. Zacharyaszowi.

Z bocznej kaplicy, po lewej stronie (ewangelii) ołtarza wielkiego prowadzą schody, złożone z siedmiu marmurowych stopni, do podziemnej groty Narodzenia św. Jana. Piękne płaskorzeźby z białego marmuru wpuszczane w czarne ściany przedstawiają różne zdarzenia z życia Chrystusowego Poprzednika. Ołtarz, znajdujący się w tej kaplicy poświęcony jest św. Janowi; pod nim wyryty łaciński napis: *Hic praecursor Domini natus est.* (Tu narodził się Poprzednik Pański). Modliliśmy się gorąco na tem świętem miejscu, przenosząc się myślą w te czasy i przywodząc sobie na pamięć te dziwne zdarzenia, jakie przy Narodzeniu św. Jana zaszły.

W pobliżu, w kierunku zachodnim, na 10 minut drogi, znajduje się kaplica Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, należąca również do OO. Franciszkanów. Podanie mówi, że Zacharyasz miał na tem miejscu drugi dom (letni), i że tu właśnie powitała św. Elżbieta odwie-

dzającą ją Matkę Bożą; pierwsza ze śmiertelników pozdrowiła ją wtedy temi słowy: «Błogosławionaś ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota twego». (Łk. I., 42). Wtedy Najświętsza Panna wypowiedziała ów śliczny hymn *Magnificat*, — «Wielbij duszo moja Pana», który śpiewamy w czasie każdych nieszporów.

Niedaleko tej kaplicy jest źródło Maryi, z którego miała, według podania, Najświętsza Panna czerpać wodę w czasie swego trzechmiesięcznego pobytu u św. Elżbiety. Nad tem źródłem zbudowano skromny meczecik turecki. Naprzeciw kaplicy Narodzenia, poza wąwozem, w odległości ćwierć mili (2 kilometry) znajduje się klasztor Córek Syonu z pięknym kościołem, szkołą żeńską i ochroną dla sierót. Widzieliśmy także ze znacznej odległości krętą ścieżkę prowadzącą do miasteczka Emaus, gdzie Pan Jezus po Zmartwychwstaniu dał się uczniom poznać po łamaniu chleba. Z drugiej, zachodniej strony znajduje się dolina Terebintu, na której Dawid pokonał kamieniem, wyrzuconym z procy, olbrzyma Goliata. W tymże kierunku zachodnim, o godzinę drogi rozciąga się puszcza św. Jana, na której przepędził on swą młodość. Jest w niej i grota, co służyła mu za mieszkanie i źródło, z którego czerpał wodę i gasił swe pragnienie.

Mieszkańcy miasteczka św. Jana i Betlejemu zajmują się przeważnie wyrobem różnych dewocyonaliów, jak krzyżyków, koronek... i z tego się utrzymują.

(Dokończenie nastąpi).

ZIMOKWIT.

Szła Najświętsza Matka z Nazaretu do Jerozolimy, chcąc odwiedzić miejsca, na których Syn jej dokonał dzieła odkupienia, przelał Krew swą Najświętszą za zbawienie ludzkości. Towarzyszył Jej Jan św., najmilszy uczeń Zbawiciela, który pomny słów Mistrza ukochanego, był od chwili ukrzyżowania wiernym i nieodstępnym synem Matki Jezusowej.

Uciążliwą była droga. Nadzwyczaj skwarne i suche lato sprowadziło nędzę i w ślad za nią mnóstwo chorób między ludzi. To też, gdzie tylko Najświętsza Panna w swej pielgrzymce zawitała, wylegali wierni na Jej spotkanie, z płaczem wzywając ratunku i wstawiennictwa u Boskiego Syna.

A Ona, jako matka czuła na niedolę dzieci, szła chętnie wszędzie, gdzie Jej pomocy wzywano, niosąc pociechę i ukojenie. Wszak i dziś jeszcze nikt Jej pomocy daremnie nie wzywa.

Samo dotknięcie tej świętej dłoni, która wypiastowała Zbawiciela świata, wracało chorym zdrowie. A komu sądzonem było świat ten porzucić, ten z radością żegnał życie — bo obecność Matki Jezusowej przy śmierci dawała mu pewność dostąpienia niebieskiej szczęśliwości.

Z Nazaretu do Jerozolimy daleka droga, więc wstępując tak do wsi i miasteczek, dobrze już było ku jesieni, gdy Matka Najświętsza z Janem zbliżyli się do celu swojej podróży.

Smętnym wzrokiem wodziła Boża Rodzicielka po spalonych letnią spiekotą polach, po uschniętych ziołach słyszała niemą skargę zwiędłych kwiatów, że karę Bożą za złość ludzką i one niewinnie cierpieć muszą. O, bo Przeczysta Bogarodzica rozumiała głosy wszelkiego stworzenia!

Żal było Matce Bożej biednych ziół i kwiatów, chciałaby uwić z nich wianuszek, by go złożyć na grobie, w którym ongi złożono Jej ukrzyżowanego Syna, — ale kwiaty pod żarem słońca dawno zmarniały, trawy zeschły i pożółkły.

Kieruje kroki swe Matka Najświętsza na Górę Oliwną, ku Ogrojcowi. Po kamienistej drodze wspiera i prowadzi Ją troskliwie Jan św. Od miejsca, na którem się zaczęła gorzka męka Jej ukochanego Syna, chce i Ona zacząć zwiedzanie tak dla Niej wówczas bolesnych, a dopełnieniem odkupienia chwalebnych pamiątek.

W Ogrójcu cudny się przedstawił widok oczom Bożej Matki. Jakby krwawy pot Zbawiciela na wieki użyźnił w nim ziemię i zabezpieczył ją od wyschnięcia, jaśniały świeżą zielonością zioła i trawy, a u stóp góry tam, gdzie strumień Cedronu przepływał, rozciągała się łąka,

pełna ślicznych różowoliliowych kwiatów zimokwitu. Nad wodą zwieszały się gałęzie kaliny i bzu dzikiego.

— Ot, będzie z czego uwić wianuszek — myśli Najświętsza Panna, i śpieszy ku łące zerwać śliczne kwiaty.

A zimokwit był wówczas o wiele wspanialszym kwiatem, niż dzisiaj. Tak, jak siostrzyce jego lilie, nosił swój piękny kielich na wysokiej łodydze, i tak jak lilie, roztaczał dokoła cudną woń. Nie był również jeszcze trującą, jak teraz, rośliną.

Schyla się Przeczysta, by zerwać piękne kwiaty. Ale hardy zimokwit opiera się temu całą siłą swej wisnej łodygi.

— To na wianek ku czci Syna mego — rzecze Najświętsza Matka, starając się z wysiłkiem ułamać kwiat. Ale słaba wiekiem i znużeniem podróżnem ręka zdołała tylko nadłamać opierającą się łodygę, a rozłoszczony kwiat prysnął swym sokiem białawym, jak jadem, na świętą dłoń, robiąc na niej brzydkie brunatne plamy.

Z żalem odwraca się Boża Rodzicielka od niewdzięcznych kwiatów, wiodąc okiem wokoło za innem zielem. Padł Jej wzrok na krzaki bzu i kaliny, zdobne w czarne jagody i krasne korale.

Ledwie spojrzała, a tu kalina i bez ścielą Jej swe gałązki do stóp, liśćmi szeleszcząc prosząco: «Urwij, Najświętsza Pani, z naszych jagód wianuszek dla Syna!» A wonna mięta, rosnąca nad strumieniem, prosi: «Weź liście moje, Matko Boża! Skromne one są, i kwiat mój niepozorny, ale czarne jagody bzu i czerwone korale kaliny stroić je będą».

— Zerwij nas, Matko Pana! — wołały bez, mięta i kalina — pozwól nam służyć ku czci Twego Syna!

I Przeczysta przychyla się do ich prośby, wije z woniejących liści wianek, zdobiąc je jagodami liści i kaliny.

Idzie potem Matka Jezusowa z Janem kamienistą drogą na Golgotę, wspominając gorzkie chwile Syna swego i swoje, na tej drodze przebyte, a wianek uwity z bzu, mięty i kaliny towarzyszy Bożej Matce na tej drodze — i potem z Golgoty do Grobu Chrystusowego.

Na kamieniu, z pod którego zajaśniał tryumf Ukrzyżowanego, zwycięstwo życia nad śmiercią, składa Naj-

świętsza Panna przyniesiony wianuszek, prosząc Syna, by On nagrodził dobrym ziołom gotowość służenia ku Jego chwale.

Spełnił Jezus życzenie swej Świętej Matki, bo oto od tego czasu mają jagody bzu i kaliny, tak jak i liście mięty. moc cudowną w sobie, uśmierzającą dolegliwości w chorobach ludzi.

Zimokwit za swą hardość dla Bożej Matki srogiej doznał kary. Stracił woń, okazały wygląd, a choć kwiaty jego stroją i teraz jesienią łąki, to omija je każde stworzenie, gdyż cała roślina, od korzenia do nasienia, zawiera jad trujący.

A lud nie zwie go inaczej, jak bąchorem.

F. O.

Niektóre zwyczaje u Słowian południowych.

Słusznie przysłowie powiada, że »co kraj to obyczaj», bo każdy naród ma odmienne zwyczaje, obrzędy i zabawy. A zwyczaje te nieraz bywają bardzo ciekawe i warto się o nich dowiedzieć, to też choć pokrótce o niektórych przynajmniej wspomnimy.

Dziwne są niekiedy obyczaje Bułgarów. Dziecię nowonarodzone gdy wykąpią, posypują solą i obwijają w pieluchy. Biedna dziecina drze się w niebogłosy, ale solenie ma jakoby zapobiegać wstrętnemu odorowi, któryby inaczej ciałko jego wydawało. Nie dość na tem. Usmażoną w oliwie jajecznicą, mocno opieprzoną, okładają główkę dziecku, co ma znowu stanowić znakomity sposób zahartowania czaszki na działanie promieni słonecznych. Naturalnie, wszystko to są babskie praktyki, nie mające sensu.

Panuje też dziwny w Bułgaryi obyczaj wykradania dziewczyny, a zwyczaj ten jest tak starodawnym i zakorzenionym, że często wykradają pannę, choć nie zachodzą żadne przeszkody, aby się młodzi pobrali. Kiedy dla jakichbądź powodów rodzice nie zgadzają się na zamęźcie córki, pragnący ją poślubić junak (młodzieniec) w nocy napada z towarzyszami swymi na dom ukochanej, porywa

ją i unosi. Po paru tygodniach młodzi wracają do rodziców, a ci przebaczają im i błogosławią. Zdarza się znowu, że junak porywa pannę, a gdy ta nie ma ochoty wyjść za niego, wtenczas jeżeli do domu ucieknie, choćby po paru tygodniach, małżeństwo uważa się za zerwane.

W wigilię ślubu urządzają zabawę na pożegnanie młodych z towarzyszami. Do ślubu stroją się państwo młodzi w najpiękniejsze odzienie i kwiaty, co również czynią drużbowie i druchny, te ostatnie mają wieńce nietylko na głowie, ale i wokoło pasa. Pannę młodą wsadzają na konia i w otoczeniu weselników, także na koniach, wiozą do domu pana młodego. Tam już stoi beczka wina, a na niej pieróg weselny, tam też przybywa pop prawosławny w ubraniu cerkiewnem, bo ślub w wielu okolicach zwykle się w domu odbywa, co zaprowadzono zapewne w czasie niewoli tureckiej.

W obrzędach pogrzebowych Bułgarzy zachowali wiele zwyczajów pogańskich. Pamięć o zmarłych nie objawia się w modlitwie, ale w dostarczaniu na mogiłę jadła i napoju. Gdy się n. p. kobiecie przyśni mąż zmarły, albo ktoś z krewnych, to zaraz spieszy na cmentarz z jedzeniem. W trzy lata po pogrzebie wykopują kości zmarłych z ziemi, płuczą je w wodzie, zbierają do nowego worka płóciennego i przyniósłszy do cerkwi, składają przed ołtarzem. Duchowny błogosławi je i odmawia odpowiednie modlitwy, a wtedy zabierają je i chowają powtórnie, poczem krewni idą na cmentarz w piątek wieczór i w sobotę rano.

Duchowieństwo w Bułgaryi jest strasznie zacofane i mało oświecone, dlatego na takie praktyki pozwala, a nawet je popiera. W każdym klasztorze stoją w piwnicach kościelnych skrzynki z czaszkami zakonników. W pewne dni żałobne zbierają się tam bułgarki i przylepiwszy woskową świeczkę do czaszki swego krewniaka, modlą się za umarłych.

W Serbii swatają młode pary często nieznane sobie, pomimo ich woli. Narzeczony musi tam ojcu zapłacić za córkę umówioną sumę pieniędzy, musi kupić jednemu krewniakowi kurtkę, drugiemu czapkę, trzeciemu opanki (rodzaj obuwia) wreszcie dorzucić kilka dukatów dla sa-

mej panny. Dziewczyna bądź ze zwyczaju, bądź z braku przekonania zwykle wzdraga się wziąć pieniądze, na pierwsze jednak słowo ojca zbiera je pokornie w fartuch i usuwa się na bok. Jest to z jej strony dowodem przyzwolenia na małżeństwo.

Do ślubu drużyna zawsze idzie pieszo i do tego wybiera drogę najdłuższą, uważają, że wstyd byłoby jechać. Weselnicy na prawem ramieniu przypinają sobie chustki kolorowe. Wstępują po drodze do pana młodego i idą do cerkwi, wychodząc zaś stamtąd strzelają na wiwat z pistoletów. Po uczcie weselnej panna młoda całuje wszystkich gości w twarz za co od nich dostaje pieniądze. Na drugi dzień po ślubie, mając już na głowie strój mężatki, idzie po wodę w towarzystwie dziewcząt rówieśnic, bo tego zwyczaj wymaga.

Co do pogrzebów, to mają podobne zwyczaje co i Bułgarzy. Za spokój duszy nieboszczyka schodzą się po pogrzebie na stypę, gdzie sporo wypijają rakii, a część potraw, jak: ryż z półmiskiem, placek, wino i wódkę stawiają na mogile, a potem rozdają ubogim. Są również jak Bułgarzy zabobonni; wierzą n. p. że po 40-tu dniach zły duch wstępuje w pogrzebane ciało i w postaci upiora wkrada się do mieszkań ludzkich dusi śpiących i krew wysysa. Uczciwy człowiek nie zamienia się w upiora, chybaby nad trupem niepochowanym kruk przeleciał, czego też najpilniej strzegą.

Czarnogórcy znów mają odmienne zwyczaje pogrzebowe. Trumny nie robią wcale, lecz obmywszy trupa, kładą go na przyniesione z kaplicy mary i pozostawiają do drugiego dnia. Krewni i przyjaciele czuwają przy nim noc całą. Nazajutrz niosą do kościoła, a po odprawieniu modłów niosą na cmentarz i ucałowawszy, spuszczają do grobu. Wtedy dopiero zaczyna się lament i żal po zmarłym i pożegnanie najczulszemi słowami.

Na dowód żalu drapią sobie twarz i piersi, tłuką się pięściami po głowie, obcinają sobie włosy i rzucają sploty do grobu. Po pogrzebie wystawiają przed chatą stół, na nim składają ubranie zmarłego, czapkę, strzelbę, fajkę i tytoń, i tak stoi przez dni dziesięć, w czasie których przybywają krewni i znajomi, którzy dalej mieszkając na po-

grzeb przybyć nie mogli — i opłakują nieboszczyka. Kobiety w ucztach pogrzebowych nie biorą udziału. Za to po Wielkanocy okładają groby darniną i modlą się za umarłych.

Wszystkie te zabobony pokazują, że u południowych Słowian wielka jeszcze panuje ciemnota.

POKUTA RYB.

Pobożny zakonnik, wymowny, gorliwy,
Nad morza zjawił się brzegiem,
I począł nauczać, w tem naraz o dziwy!
Ryb mnóstwo stanęło szeregiem.

Karp paszczę otworzył od ucha do ucha,
Okonek wychylił z wód lice
I szczupak żarłoczny nadpłynął i słucha,
I pstrągi i małe sołwice.

Sum nadbiegł pospiesznie i rusza wąsami
I sztokfisz wytrzeszczył swe oczy,
Śledź także nadpłynął porówno z flądrami,
I rekin poważnie się toczy.

Lin z leszczem przybyli i łosoś się zjawił,
Przypłynął też węgorz otyły;
I rak ociężały pośpiesznie się stawił,
A nawet i żaby przybyły.

I wszystko uważa w milczeniu głębokiem;
A mówca tak serca im kruszy,
Że każde z zwilżonem słuchało go okiem
I czuło poprawę w swej duszy.

Już karp z rozczuleniem rozpływa się w wodzie,
Popłakał się węgorz z sandaczem,
Sumowi łzy liczne spłynęły po brodzie,
I sztokfisz wybuchnął w głos płaczem.

Sam rekin rozbójnik poprzysiągł w swej duszy,
Że żywot wieść będzie już dobry,
I szczupak się zaklął, że rybek nie ruszy
A żaby płakały, jak bobry.

Rak też miał rzetelną poprawę na względzie,
Bo dawał zgorszenie swym chodem,
Więc przysiągł, że więcej wstecz chodzić nie będzie.
Lecz tylko posuwać się przodem.

Skończyła się wreszcie żarliwa przemowa,
A w wodzie ruch powstał niemały,
Gdy mowy ostatnie przebrzmiały już słowa,
Wnet ryby do domu wracały.

Najpierwszy się szczupak skruszony obrócił,
I połknął sąsiada karpika;
W tem rekin się z boku na szczupaka rzucił,
Wzajemnie i jego połyka.

A piskorz, co dotąd się w mule lubował
Jak dawniej zanurzał się w błocie;
I sztokfisz, co tak się serdecznie zbudował,
Trwał dalej w bezdennej głupocie.

I żaby, co chciały, jak słowik zanucić,
Rechtały, skrzeczały bez sromu;
A rak już nie raczył się wcale obrócić,
Lecz tyłem się cofał do domu.

Tak robi niejeden: poprawę przyrzeka,
W tej chwili, gdy mówcy słów słucha,
Lecz skoro te przebrzmią — tak samo człowieka
Jest rzeczą, jak ryb owych skrucha

Pustelnik i skarb znaleziony.

Szedł pustelnik drogą przez puszczę i znalazł trzos skórzany pełen złota, a zamiast go podnieść, jął kijem okładać. Wtem nadeszło trzech podróżnych, którzy to zobaczywszy, pytają pustelnika z podziwem, dla czego chłoszcze pieniądz?

— Bo w tym trzosie jest śmierć ukryta — odpowie starzec — więc ją okładam, aby się do mnie nie przyczepiła.

— Jaki on głupi — rzekli podróżni. Naśmiali się z dziada, trzos ze złotem zabrali i poszli w dalszą drogę, a pustelnik udał się z powrotem na puszczę.

Uradowani niespodzianem szczęściem, gdy słońce już zaszło, wstąpili do samotnej wśród lasu gospody, aby podzielić się złotem i przenocować. Przy wieczerzy, z wielkiej radości podchmielili sobie niezgorzej, a że jak to bywa, ten mocniejszy po kieliszku w nogach inny w głowie — więc i tu, gdy jeden zasnął, jak drewno, dwaj pozostali zmówili się. żeby śpiącego zabić i pieniądzmi, które wziął w podziale. rozdzielić się. Jakoż spełniwszy zbrodnię, trupa w krzakach ukryli, pieniądze zabrali i nie zapomniawszy flaszy z resztą gorzałki, szybko w lasy uciekli.

Długo szli przez gęstwiny, aż pomęczeni zatrzymali się na odpoczynek. Wtedy ten, który do zbrodni namówił, żeby dodać sobie odwagi i zagłuszyć głos sumienia, duszkiem wychylił pozostałą gorzałkę, poczem zasnął snem twardym.

Towarzysz, słysząc chrapanie, myśli sobie! Ty mnie do zbrodni namówiłeś, więceś sam na taką śmierć zasłużył; jeżeli ja ciebie zabiję to cię spotka słuszna kara, a zbrodnia nasza już nigdy się nie wyda. Tak dumając, zabił zbrodniarz zbrodniarza, zabrał wszystko złoto, ukrył trupa w lisiej norze i powędrował do miasta z ciężkim trzosem złota i z jeszcze cięższem sumieniem.

Sumienie nie dawało mu spokoju w dnie i w nocy, aby więc je zagłuszyć, pił na zabój, grał w kości z kosterami, szulerował i hulał jak opętany, aż nareszcie cały skarb swój przemarnował i przetrwonił.

Nędza poczęła trapić ciało, a jednolity robak sumienia toczył mu duszę. Gdzie spojrzał widział w każdej kropli błota krew ludzką, w każdym głosie słyszał jęk konającego pod nożem. W dzień każdy kto spojrzał na niego, zdawał się wiedzieć o jego zbrodniach; w nocy, pomordowani stawali nad głową, spędzając mu sen z oczu.

Nie mogąc znieść widoku ludzi, uciekł znowu na puszczę. Ale gdy w pustkowiu głód i sumienie jeszcze srożej dręczyć go zaczęły, postanowił zakończyć swą męczarnię samobójstwem. Jakoż upatrzywszy sobie gałąź, już założył pętlicę na szyję, gdy nagle ukazał się z gęstwiny ten sam pustelnik i kościstą ręką wstrzymał spełnienie trzeciej zbrodni. Samobójca skruszony widokiem świętobliwego starca upadł przed nim na kolana i płacząc, skruszony szukał ulgi w szczerej i długiej spowiedzi.

— Grzeszniku — rzekł wzruszonym głosem starzec — wielkie są winy twoje, ale jeszcze większe miłosierdzie Boże! Oto cudowne zrządzenie przeszkodziło samobójstwu, a ocalić może życie niewinnego karczmarza z owej leśnej gospody, który zasądzony o dwa zabójstwa i na śmierć skazany, jutro ma być ścięty przez kata. Ja jeden byłem przeświadczony o niewinności tego człowieka, ale dowodów na to nie miałem. Modliłem się gorąco i Bóg wysłuchał modłów moich. Jeszcze nie jest zapóźno. Idź grzeniku do miasta wyznaj przed starostą zbrodnie twoje, proś o surową dla siebie sprawiedliwość, zgiń śmiercią zasłużoną, a ocalisz życie niewinnemu karczmarzowi i własną duszę wybawisz od potępienia wiecznegn.

Nazajutrz na rynku, rano, gdy karczmarza ścinać miano, przedarł się przez tłum zebrany człowiek nikomu nie znany, krzycząc głosem rozpaczliwym: «Jam jest mordercą prawdziwym, za największą łaskę świata, dajcie mi pójść pod miecz kata; karczmarz niewinnie sądzony, niech wróci do dzieci, żony».

Miłość macierzyńska u gadów.

Słyszeliście zapewne o wielkich strasznych potworach, zwanych krokodylami. Zamieszkują one rzeki w krajach gorących.

W porze najgorętszej zagrzebują się w iłowatą ziemię i zapadają w uśpienie letnie.

W wodzie są szybkie, jak strzała ruchliwe i niebezpieczne; na lądach zaś chodzą powoli, trudno im wyginać ciało na bok, z tego powodu są tchórzliwe.

Zdobycz napadają podstępnie i są tak żarłoczne, że nawet kawałki drzewa i kamieni połykają. Główny ich pokarm stanowią wprawdzie ryby, jednak pożywają także większe ssawce, przychodzące pić do rzeki, nawet ludzi, a zwłaszcza dzieci, bawiące się w bliskości rzeki.

Nie gardzą także padliną.

Z ujętą zdobyczą zaraz nurka dają, aby się zalała, poczem pożerają ją nad wodą lub na brzegu. W gromady zbierają się krokodyle tylko tam, gdzie obfite znajdują pożywienie.

Głos wydają donośny, szczękami i ogonem sprawiają straszny chałas. Jaja okryte twardą skorupą i tak wielkie, jak gęsie, samica znosi w liczbie kilkudziesięciu, składa je na brzegu w piasku lub też w krzakach, pokrywa liśćmi, i pozostawia wylęg ciepłu słonecznemu.

Ciekawym wzorem troskliwości macierzyńskiej jest zwłaszcza krokodyl amerykański, aligator, żyjący w rzece Mississippi. Samica buduje dla swego potomstwa prawdziwe gniazdo... W tym celu wyszukuje między krzakami lub w trzcinie miejsce nieprzystępne i znosi tu w paszczy gałęzie, układa je na ziemi i wyściela liśćmi. W tak przygotowanym gnieździe składa jaja i przykrywa je starannie szczątkami roślin. Nie na tem jednak kończy się jej obowiązek macierzyński, nie opuszcza bowiem gniazda, lecz kryje się na straży w jego pobliżu i niespokojnym wzrokiem wciąż spogląda w stronę ukrytego skarbu, gotowa w mgnieniu oka zmiażdżyć każde stworzenie, zbliżające się do jaj.

Pod dobroczynnym wpływem ciepła słonecznego z jaj wylęgają się małe aligatorki; wówczas matka prowadzi je do rzeki i tam w dalszym ciągu roztacza nad niemi opiekę.

Ciekawym jest również sposób zakładania gniazd u żółwi morskich. Żółwie te są to zwierzęta zimnokrwiste podobnie jak krokodyle. Ciało mają krótkie a szerokie, spłaszczone i okryte twardym pancerzem, z którego wysuwa się głowa i cztery łapy.

Żółwie morskie pływają zwykle bardzo daleko od lądu, gdyż są płochliwe. Ale gdy nadchodzi czas składania jaj, wówczas samice wielkiemi gromadami wylądowują na jakiej bezludnej wyspie i zabierają się do roboty. Każda z samic przy pomocy tylnych łap i ogona wykopuje w ziemi dołek, składa do niego jaja i natychmiast znowu zasypuje go ziemią. Aby zaś zatrzeć ślad, gdzie jaja ukryła, samica ubija i wyrównywa ziemię swym pancerzem.

Ta praca tak pochłania uwagę matek, iż w tym czasie tracą one swą zwykłą tchórzliwość i pozwalają zbliżyć się ku sobie ludziom. To też wiele z nich pada wtedy ofiarą, zaczajeni bowiem łowcy, upatrzywszy sposobną chwilę, wyskakują nagle z zasadzki, rzucają się na żółwie i szybko przewracają je na grzbiet, aby nie zdołały umknąć do morza. W tem położeniu żółwie pozostają nieruchome, gdyż są tak ciężkie i niezgrabne, że nie mogą o swej mocy przewrócić się na brzuch.

Łowcy przewożą żółwie statkami do rozmaitych krajów, gdzie z mięsa ich przyrządzają smaczną zupę, a pancerz pod nazwą szyldkretu idzie na wyrób szpilek do włosów, grzebieni i innych ozdobnych drobiazgów.

Rozmaitości.

Dawne dobre czasy.

Z powodu panującej obecnie ogólnej drożyzny przypomina jeden z wiedeńskich dzienników, że w roku 1780 kosztował suty obiad z winem w porządnej restauracyi śródmieścia wiedeńskiego 24 centy, czyli 48 halerzy. Tańsze restauracye wydawały obiady po 13 do 15 cen-

tów. Taki obiad — jak czytać można w kronikach — składał się z „zupy, jarzyny, kotletów, kiełbasy, lub smażonej wątróbki, mięsa wołowego i litra wina“. — W roku 1800 obiad z czterech dań kosztował 30 centów.

Jak długo żyją drzewa?

Drzewa, rosnące dziko, żyją dłużej od hodowanych: drzewa wydające owoc kwaśny i cierpki dłużej od takich, które mają owoc słodki. Dłużej również żyją drzewa, których liście więdną i opadają pomału, niż te, które szybko tracą liście. Najpóźniejszego wieku dożywają dzewa twarde i rozłożyste. Jodła może żyć 500 lat, dąb i lipa 1000 do 1500, jawor, palma i cedr do 1000 lat, a drzewo zwane chlebowem żyje najdłużej, bo dosięga wieku 5 do 6 tysięcy lat.

Psy na posterunkach.

Obecnie mówią wiele o psach policyjnych. We Włoszech używają psów już od dawna jako posterunków wojskowych. W Bolonii n. p. strzeżenie rowów fortecznych powierzono psom. Właściwym posterunkiem jest jednak żołnierz. Gdzie używają psów jako posternuków, wystarcza na warcie trzech ludzi, podczas gdy dawniej potrzeba było sześciu do dziewięciu.

Osobne patrole kontrolują od czasu pełniące służbę psy. Niekiedy się zdarza, iż patrol zastaje na warcie śpiącego żołnierza, ale dotychczas nie zdarzyło się nigdy, aby psi posterunek zawiódł. Niekiedy pies budzi także śpiącego żołnierza.

Taki wypadek zauważył major Guidy podczas nocnego patrolu. Gdy pies zauważył jego zbliżenie się, starał się zbudzić śpiącego żołnierza, jakby przeczuwał grożące niebezpieczeństwo. Żołnierz przyznał otwarcie, iż gdyby nie pies, można go było zaskoczyć we śnie.

Święta krowa Hindusów.

Krowa u nas stała się nieraz dobrodziejką dla całych rodzin, nie posiadających często innego mienia, prócz

niej. U Hindusów w Indyach podniesiona została krowa do godności bóstwa. Jest ona dla nich świętością, a szacunek, którym ją otaczają, jest tak wielki, iż nieraz wybuchają rozruchy z powodu obrazy, uczynionej krowie.

Widziano tam raz krowę, która w południe położyła się najspokojniej na ulicy w Kalkucie, aby sobie wypocząć. Jeden z jej wielbicieli ugościł ją smakołykami, a ona, przeżuwając je, używała iście krowiej rozkoszy. Ruch na ulicy ustaje, wszyscy omijają ją na prawo i na lewo, nikt się nie odważy przeszkodzić jej, a Hindusi składają jej swoją czołobitność. Gdy nareszcie krowa powstała, odprowadzono ją uroczyście do jej rezydencyi, do obory.

Epilepsya — czyli choroba św. Walentego

jest często skutkiem pijaństwa osoby na tę chorobę trapionej, albo pijaństwa jej rodziców. Lekarz Dr. Wartmann badając powyższą chorobę, stwierdził, że najczęstszą jej przyczyną jest pijaństwo. To samo potwierdził Dr. Kraepelin. Według zaś badań Dra Legraina na 100 dzieci pijaków, dwanaście z nich cierpi na chorobę św. Walentego. Rodzice tedy oddający się pijaństwu — choćby nie nałogowemu — wyrządzają wielką krzywdę swym dzieciom, bo sprowadzają na nich ciężką chorobę.

Emerytura dla koni.

W Kopenhadze (stolicy Danii) zawiązało się stowarzyszenie, mające na celu zabezpieczenie starym, wysłużonym koniom „starości lekkiej i bez troski". Stowarzyszenie zbiera składki od swych członków, i zamyśla kupować za nie sterane konie i żywić je w osobnym na to specyalnie przeznaczonym zakładzie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Marceli Dziurzyński.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Figle i żarty.

Wyjaśnienie. — Tatuś, czemu ryby są nieme?

— Głupiś! A ty umiałbyś gadać pod wodą?

Wymówił się. Sędzia: Jesteście przecie murarzem, czemu więc nie poszukaliście sobie jakiego zajęcia na budowie?

Wagabunda: Chciałem, panie sędzio, ale wszędzie była umieszczona tablica: obcym wstęp wzbroniony.

Pomylona Kasia. — Jak pani jest ze swojej służącej zadowoloną?

— Na ogół nie źle, tylko co do rachuby czasu ma zupełnie pomylone w głowie.

— A to jak?

— Widzi pani, jeśli pierze przez godzinę, to mówi, że prała cztery godziny. A wyjdzie z domu na miasto, i nie wróci aż za cztery godziny, to mówi znowu, że tylko godzinę była na mieście.

Wymowny niemowa. Na probostwo przychodzi Maciek i kłania się do kolan jegomości.

Proboszcz: Słyszałem, chłopcze, że ty chciałbyś się żenić?

Maciek oblizuje się.

Proboszcz: Kiedy tak, to powiedz, czy umiesz pacierz?

Maciek skrobie się w głowę... *Fr. M.*

Pocieszenie. Pani Maciejowa z Kleparza spotkała zapłakaną swą kumoskę, rzecz więc prosta, że zapytała ją z współczuciem o powód łez...

— Ach, kochana pani, mąż mój, ten tyran obrzydliwy, wrócił dziś nad ranem ze szynku, gdzie grywa na skrzypcach i zbił mnie smyczkiem.

— To dziękuj pani Bogu, że nie grywa na basach, boby panią bardziej bolało, gdyż smyk od basów jest grubszy!